



ANNA KARNICKA

PARADOKS  
MARIONETKI

SPRAWA  
KLARY B.

 GENIUS  
CREATIONS



Anna Karnicka

PARADOKS  
MARIONETKI

---

SPRAWA KLARY B.



GENIUS  
CREATIONS

## **Paradoks marionetki: Sprawa Klary B.**

Copyright © Anna Karnicka

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Paweł Dobkowski

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2016 r.

druk ISBN 978-83-7995-066-9

epub ISBN 978-83-7995-067-6

mobi ISBN 978-83-7995-068-3

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Ilustracja na okładce: Paweł Dobkowski

Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski

Skład i typografia: Studio Grafpa, [www.grafpa.pl](http://www.grafpa.pl)

Redaktor serii: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

**Książka dostępna w księgarni: [www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)  
i [www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)**

*Dla mojej mamy, która wciąż myśli,  
że to broszurka reklamująca proszek do pieczenia*



# SPIIS TREŚCI

1. Dwadzieścia przepisów na przetwory z muchomorów .....	9
2. Szepty .....	25
3. Druga strona .....	41
4. Dziedzic alchemików .....	53
5. Pod Trupkiem .....	69
6. Najlepsze lody w mieście .....	83
7. Podchody .....	97
8. Stara Sprawa .....	113
9. Kot i Ciastko podejmują trop .....	137
10. Gwóźdź do trumny .....	151
11. Wieczorny smutek .....	165
12. Widmokot .....	181
13. Nocny gość .....	207
14. Rada Kolegium .....	217
15. Egzamin wstępny .....	231
16. Piekielny rajd .....	243





# 1. DWADZIEŚCIA PRZEPISÓW NA PRZETWORY Z MUCHOMORÓW

Widok z drzewa na przeciwległą stronę ulicy był idealny. Trudno o lepszy punkt obserwacyjny.

– Ktoś idzie – zauważyła Magpie, na chwilę odsuwając lornetkę od oczu. Jackdaw wyciągnął w jej kierunku odzianą w skórzaną rękawiczkę dłoń.

– Daj popatrzeć.

– Zaraz, próbuję się zorientować, czy nasz, czy tu-tejszy.

– Daj popatrzeć, mówię – nalegał Jackdaw. – Sam ocenię.

Dziewczyna westchnęła i z rezygnacją podała towarzyszowi lornetkę. Poprawiła osłaniający twarz czarny kaptur i mocniej nasunęła chustkę na nos.

Jackdaw w milczeniu obserwował postać, zbliżającą się do drzwi na wprost zrujnowanego budynku. Jeśli wierzyć szyldowi, za drzwiami znajdował się sklep z antykami.

– Nasz – orzekł wreszcie, nie odsuwając lornetki od twarzy.

– Skąd wiesz? – zainteresowała się Magpie.

Nieznajomy stanął na progu budynku i zaczął majstrować coś przy zamku w drzwiach.

– Maskowanie – ocenił fachowo Jackdaw. Jego czarne, złośliwe oczy były pełne satysfakcji. Podał lornetkę towarzysze. – Do tego nieudolne. Sama zobacz, gość wygląda jak przebieraniec.

„Przebieraniec” miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, czarne spodnie i sięgające kolan skórzane buty. W ciepły czerwcowy wieczór jego strój wyglądał nieco absurdalnie. Włamywacz sprawnie uporał się z zamkiem i zniknął za drzwiami. Okna budynku wciąż pozostały ciemne. Puste.

– Co robimy? – zapytała.

– Nic – padła krótka, zdecydowana odpowiedź. – Mistrz kazał tylko obserwować.

Magpie z rezygnacją pokiwała głową. Nie miała dość odwagi, by sprzeciwić się rozkazom Mistrza. Nagle zamrugła. Ciemne dotychczas okna sklepu pojaśniały intensywnym, pomarańczowo-czerwonym blaskiem. Pożar. Wściekły, trawiący wszystko na swojej drodze i zupełnie niespodziewany. Żaden z przechodniów nie zwrócił na to uwagi. Nikt nie dostrzegał kłębow dymu i języków płomieni, pełzających po szybie. Nikt poza nimi dwojgiem nie słyszał syku trawionego ogniem drewna i oszalałego wycia ginącej w płomieniach duszy.

Magpie przykucnęła na gałęzi, gotowa zeskoczyć na ziemię.

– Tylko obserwować – powtórzył dobitnie Jackdaw, zaciskając dłoń na jej ramieniu. – Siedź, gdzie siedzisz.

– Ale... ale... – powtarzała z niedowierzaniem. – Cholera, co jest z tym sklepem?

Jej towarzysz tylko wzruszył ramionami.

– Dobry system alarmowy – stwierdził od niechcenia.

– Tyle to sama widzę – odcięła się Magpie. – Ale właściwie dlaczego? Co takiego jest w tym sklepie, że już trzeci albo czwarty frajer tam lezie jak ten głupi i daje się spopielić albo poćwiartować?

Chłopak popatrzył na nią z wyższością.

– Mistrz ci nie powiedział? – zapytał. Czarne oczy znów zalśniły złośliwie. – Nie zdradził ci, czemu obserwujemy ten sklep?

– Tak, wiem, jestem tylko szeregowcem, nie należę do ścisłego kręgu jego zaufanych uczniów. – Dziewczyna wykrzywiła się cierpiętniczo. – Będziesz łaskaw uchylić rąbka tajemnicy?

– Właścicielka tego sklepu niedawno sprowadziła pewną bardzo szczególną lalkę – odparł enigmatycznie Jackdaw. Nastolatka wzniosła oczy ku niebu.

– Mianowicie?

– Mianowicie lalkę, której posiadacz będzie w stanie obalić Pana Pieśni.

– Obalić Pana Pieśni? Niemożliwe. On... on jest przecież tak jakby bogiem, prawda?

– Tak jakby – podkreślił Jackdaw. – Znasz przecież Mistrza, wiesz ile to dla niego znaczy. Jeśli istnieje choćby cień prawdopodobieństwa, że coś może

zaszkodzić naszemu panu i władcy, woli trzymać rękę na pulsie.

Magpie popatrzyła na niego z autentyczną zgrozą. W tym samym momencie drzwi do sklepu otworzyły się. Niska dziewczyna w letniej sukience wyszła i wyrzuciła do stojącego przed budynkiem kubła na śmieci pełną szufelkę popiołu.

\*\*\*

– No, kocie w złocie, chyba czas pożegnać się z nerkami – powiedziała Klara, przyjaźnie klepiąc przyjaciela po ramieniu. Chłopak westchnął i jeszcze raz popatrzył na budynek, przed którym stali. Wąskie, obdrapane drzwi, odpadający tynk, upiorny pajacyk siedzący na parapecie za oknem.

– Myślisz? – spytał bez specjalnej nadziei. Klara ponuro przytaknęła kiwnięciem głowy.

– Zdecydowanie – zawyrokowała. – Ta tabliczka aż krzyczy: „to pułapka, która ma zwabiać młode zagraniczne studentki szukające dorywczej pracy, by wykorzystywać je do lubieżnych celów i następnie sprzedać na organy. Uciekaj!”

– Ale ja nie jestem studentką z zagranicy – zauważył Martin. Dziewczyna przyjrzała mu się, lekko przekrzywiając głowę.

– No, kto wie... jak się tak spojrzy pod odpowiednim kątem, to trochę wyglądasz, jakbyś był.

Z tym stwierdzeniem nie mógł dyskutować. Rzeczywiście, los obdarzył go delikatnymi, niemal

dziewczęcymi rysami, dużymi, ciemnoniebieskimi oczami i nieco zbyt długimi rzęsami. Bez względu na to, co robił, wyglądał jak bardzo chuda i całkiem urodziwa nastolatka. Sięgające ramion kasztanowe włosy, związane w koński ogon, wcale nie pomagały. – Ta tabliczka mówi: „Antyki, obrazy, biżuteria” – nie omieszkał zauważyć. Klara popatrzyła na niego z przyganą. Ona sama robiła wszystko, by jej wizerunek odzwierciedlał bogate wnętrze. Wysoka, dobrze zbudowana, z wygoloną połową głowy, nosiła kolczyk w brwi i tunele w uszach. A teraz jeszcze trzymała w pomalowanych czerwoną pomadką ustach bardzo stylowy, czarny papieros. Mimo dość chłodnego dnia ubrana była jedynie w ciekawą skórzaną kurteczkę i krótką spódniczkę.

– Czytaj między wierszami – poradziła. Sięgnęła do kieszeni po paczkę papierosów. Wyciągnęła jednego i zapaliła. – Przypomnij mi, co my tu właściwie robimy i dlaczego postanowiłeś wejść do tego domu strachów?

– Już tłumaczyłem. Potrzebuję pracy na wakacje, a oni podobno potrzebują asystenta.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Zaraz, na co ci właściwie ta praca? Nie miałeś się przygotowywać do jakichś niezwykle trudnych egzaminów wstępnych do szkoły cyrkowej, do której próbujesz się dostać?

– To nie szkoła cyrkowa – odparł, usiłując przybrać srogą minę. Z jego rysami twarzy nie było to łatwe zadanie. – To uczelnia dla lalkarzy. A pracy potrzebuję dlatego, że muszę zbierać kasę na marionetkę.

– Marionetkę? – padło pełne powątpiewania pytanie. – Czy skoro to jest niby-szkoła lalkarzy, to nie powinieneś dostać tam całego potrzebnego badziewia? No wiesz, tych wszystkich lalek albo rzeczy potrzebnych, by je zrobić?

– Teoretycznie dostanę – odparł. – Ale wymagania są takie, że jedną marionetkę muszę mieć swoją. Podobno na jakieś specjalne zajęcia czy coś. Zamierzam zbierać kasę przez wakacje i kupić najlepszą, jaką mają na Starym Mieście.

– Super – prychnęła, wypuszczając z ust kłęb dymu. – Szkoła dla dziwołagów, która jeszcze każe ci przywozić własny sprzęt. Przecież cena tych marionetek dochodzi do kilku tysięcy koron, sama widziałam. Za czesne zapłacisz mniej niż za to gówno.

– Nie ma żadnego czesnego. Poza tym już ci tłumaczyłem. – Popatrzył na nią poważnie. – To moje marzenie. I zrobię wszystko, żeby je spełnić.

– Jasne, jasne. No, kocie w złocie. – Lekko pchnęła go w stronę drzwi. – Skoro już jesteś tak zdesperowany, to zrób krok w stronę przeznaczenia. Gapienie się na budynek nie sprawi, że stanie się mniej straszny.

Niestety, Klarka miała rację. Martin musiał – chcąc nie chcąc – wspiąć się po kilku stromych schodkach i nacisnąć klamkę. Bez skutku. Drzwi pozostały zamknięte. Sklep z antykami, który w środku dnia jest zamknięty? Zapukał nieśmiało. Po chwili znowu, bardziej zdecydowanie.

– Chwileczkę! – Dobiegł go z wnętrza budynku dziewczęcy głos. – Proszę zaczekać, już idę!

Martin nie miał zamiaru dłużej się dobijać. Nie spieszyło mu się, by wkraczać w nieznanne. Klara, wciąż stojąca przed sklepem, ruchem głowy wskazała na pobliski park, dając do zrozumienia, że będzie tam czekać, aż on skończy rozmowę rekrutacyjną.

*Bardzo miło. Bardzo lojalnie. Dzięki, Klarciu.*

Aż podskoczył, gdy drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypnięciem.

– Czeeeść – powiedziała stojąca w progu dziewczyna.

– Hej – powiedział dość nieśmiało Martin, odruchowo robiąc krok w tył. Nie miał pojęcia, jak powinien się zachować. To była przecież pierwsza rozmowa kwalifikacyjna w jego życiu. Wyglądało na to, że potencjalna rekruterka wcale nie jest bardziej doświadczona. Bez wątplenia była młodsza od niego. Niewiele, rok, może dwa, ale nie dawał jej więcej niż siedemnaście lat.

– Jestem Martin – powiedział, ściskając wyciągniętą rękę. – Przyszędłem w sprawie...

– Stażysta – uśmiechnęła się szeroko. – Tak, wiem, słyszałam. Ciocia Petra mówiła, że przyjdiesz. A ja jak zwykle się zaczytałam i zapomniałam, że miałam tu trochę posprzątać. Dlatego tak długo zwlekałam z otwarciem drzwi. Wchodź, napijesz się herbaty.

Była bardzo drobna, raczej niska – zupełne przeciwieństwo Klarki. Sięgające ramion włosy założyła za ucho. Miały dziwną barwę, przywodzącą na myśl cynamon. Podobny kolor miały jej oczy. Wcale nie zdziwiło go, gdy dziewczyna się przedstawiła:

– Canelle. Po francusku „cynamon”.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu i posłusznie przekroczył próg. W środku sklep z antykami wydawał się większy niż na zewnątrz. Przestronny, zadbane i, paradoksalnie, jeszcze bardziej przerażający. Ze ścian spoglądały portrety i martwe oczy wypchanych zwierząt. Na bardzo staroświeckiej i drogiej szafce – stojąca na niej tabliczka z ceną pokazywała kilka zer – stał ogromny kubek i otwarta książka, odwrócona okładką do góry. Martin wyciągnął szyję, by bliżej przyjrzeć się tytułowi.

– *Dwadzieścia przepisów na przetwory z muchomorów* – powiedziała Canelle, stając za nim na jednej nodze i zaglądając mu przez ramię.

– Naprawdę?

– I tak, i nie. To naprawdę tytuł książki, ale nie ma w niej za dużo o przetworach.

– Nie ma przepisów? – zmartwił się. Przygotowywanie przetworów z muchomorów wydało mu się nagle wiedzą nie tylko istotną, ale i całkowicie nieodzowną.  
– A co jest?

– Nie no, są przepisy – uśmiechnęła się zaczepnie dziewczyna. – Ale nie z muchomorami.

– Przepisy na co?

– Na morderstwo doskonałe.

Miała szeroki, nieco niepokojący uśmiech, sprawiający, że wyglądała na kogoś, kto spokojnie mógłby trzymać za plecami rzeźnicki nóż.

– Nie rób takiej przestraszonej miny – roześmiała się nieco złośliwie Canelle. – To po prostu kryminał. O tym, że otruto kołesia właśnie za pomocą tych prze-



tworów. Jeszcze nie wiadomo, kto jest mordercą, ale obstawiam sąsiadkę. Jest stanowczo zbyt cicha i niepozorna. Takie są najgorsze.

Martin również był tego zdania. Ostrożnie odsunął się szafki i zrobił krok w tył.

*Wycofuj się cicho i niepostrzeżenie. Bądź jak cień. Bądź jak wiatr.*

I wtedy ją zobaczył.

Wisiąca na haku, niedaleko drzwi, i wpatrywała się w niego świdrującym, choć nieruchomym spojrzeniem. Marionetka, bez której nie wyobrażał sobie przestąpienia progu Praskiej Szkoły Lalkarzy. Wydawała się całkiem niepozorna, dość mała, łysa, naga. Idealnie pasowało do niej określenie „marionetka treningowa”.

– Widzę, że spodobał ci się nasz Daimon – dobiegł go inny głos. Mniej piskliwy niż głosik Canelle i znacznie bardziej dystyngowany.

– Nie wiedziałem, że ma imię – powiedział Martin, odwracając wzrok. Był tak zafascynowany marionetką, że nie zauważył, jak dziewczyna zaczytująca się w dziwacznych kryminałach zniknęła, a w jej miejscu pojawiła się wysoka, dostojna kobieta w czarnej sukni z wysokim, koronkowym kołnierzem. Jasnobrązowe włosy związała w ciasny kok. Oczy, tego samego koloru, co oczy Canelle, rzucały wesołe, złociste iskierki. Bez wątplenia ona i jej pracownica były ze sobą spokrewnione.

– Każda z nich ma imię, nadane przez twórcę – odparła swobodnie, poprawiając kok wystudiowanym gestem. – Kiedy już zrobisz swoją pierwszą marionetkę,

też ją jakoś nazwiesz. Wraz z imieniem otrzyma własną osobowość.

– Ja... – Spuścił wzrok, zastanawiając się, skąd i jakim sposobem ta kobieta wie o Praskiej Szkole Lalkarzy. Już od pierwszego rzutu oka wyglądał na dziwaka, który wybiera się do „szkoły dla cyrkowców”? – Ile kosztuje? – wypalił.

Kobieta pokręciła głową.

– Nie jest na sprzedaż. Marionetek nie sprzedaje się tak po prostu. Tego też sam się nauczysz, prędzej czy później – westchnęła. – To ty zgłosiłeś się do pomocy w sklepie podczas wakacji? Jestem Petra Althan, właścicielka.

Przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu, z rozdziawionymi ustami. To tyle jeśli chodzi o robienie dobrego pierwszego wrażenia na pracodawcy.

– M-Martin Lubovic – powiedział nieśmiało.

– Obserwowałam ciebie i Canelle. Lubisz sprawdzać, jakie ludzie czytają książki, ale łatwo cię wystraszyć – stwierdziła pani Althan, wyraźnie upajając się jego zmieszaniem i przerażeniem. – Interesujące połączenie. Może nie do końca pożądane w tej pracy, ale kto wie, kto wie... Może nas czymś zaskoczysz.

Martin uśmiechnął się pod nosem, zastanawiając się, czy powiedzieć coś w stylu „na pewno” albo „postaram się”, czy lepiej w ogóle nic nie mówić. Kobieta przyglądała mu się z coraz większym zaciekawieniem.

– W swojej aplikacji napisałeś, że interesujesz się teatrem i dramatem – powiedziała, lekko przekrzywiając głowę.

– Tak... trochę – odkaszlnął. – Chodziłem na warsztaty i takie te... różne... no...

– I ubiegasz się o miejsce w Praskiej Szkole Lalkarzy – powiedziała z nutą satysfakcji. – Naturalnie, że się ubiegasz.

– Skąd pani wie? – nie wytrzymał. Wcześniej jakoś walczył z ciekawością, tłumaczył sobie, że kobieta strzela w ciemno. – Nie wspominałem o szkole.

– Nie, ale wydało mi się to całkiem naturalne – odparła, siadając przy solidnym, mahoniowym biurku. – Wiem, jakie są wymogi co do marionetek, bo nie raz ktoś już o nie rozpytywał w moim sklepie, przedstawiając tę całą nudną historię o tym, po co i dlaczego. Wiem, że idąc na tak prestiżową uczelnię chciałbyś mieć najlepszą lalkę. I wiem, że w sklepach na Starym Mieście marionetki – uśmiechnęła się sarkastycznie, wyrażając tym samym opinię o ich wartości – osiągają ceny leżące daleko poza zasięgiem przeciętnego ucznia szkoły średniej. I dlatego potrzebujesz pracy.

– T-tak – powiedział ostrożnie. To wciąż ani trochę nie wyjaśniało, czemu tak łatwo zaklasyfikowała go jako przyszłego ucznia szkoły dla lalkarzy.

– Zawrzyjmy układ – zaproponowała pani Althan, uśmiechając się zawadiacko. – Ja przyjmę cię do pomocy w sklepie i nauczę wszystkiego, co potrzebne do przetrwania w tym całym... interesie. Ty będziesz pracował i wykonywał moje polecenia, a jeśli wytrzymasz do końca stażu, podaruję ci Daimona. Będzie marionetką, którą zabierzesz ze sobą na uczelnię.

– Naprawdę? – spytał. Oczy mu się zaświeciły. – Ale sama pani powiedziała, że...

– Nie jest na sprzedaż, owszem – przyznała niecierpliwie właścicielka. – Ale mogę ją przekazać komuś, kto udowodni, że potrafi odpowiednio pociągać za sznurki.

– Podsumujmy – powiedziała Klarka mniej więcej miesiąc później. Siedzieli w parku, jedząc pizzę. – Pracujesz w sklepie bez wynagrodzenia, w zamian za to, że szefowa na do widzenia da ci marionetkę?

– Ale on naprawdę jest niesamowity. Znacząca marionetka. Ma na imię Daimon. Ostatnio nawet pani Althan pozwoliła mi go zdjąć z haka i trochę z nim poćwiczyć. I obiecała, że zrobimy dokładny przegląd i dokonamy niezbędnych napraw, tak żeby Daimon był w pełni sprawny, kiedy już go dostanę...

– Gratulacje – mruknęła dziewczyna, zdejmując oliwki ze swojego kawałka pizzy. – Naprawdę, interes życia, stary.

– Nie widziałaś tej marionetki – odparł, sięgając po kolejny kawałek.

– Na pewno powaliłaby mnie na kolana.

– Tam naprawdę nie jest tak źle – zapewnił. – Właściwie to nie robię nic strasznie wymagającego. To znaczy okej, czasem muszę przepchnąć jakąś szafę, przenieść coś albo pozdejmować eksponaty z półek i poodkurzać. Głównie siedzę, piję herbatę i rozmawiam z Canelle o tym, kto jest mordercą w książce, którą ona właśnie czyta. Ostatnio stwierdziła, że listonosz, ponieważ przynosił denatowi jakieś podejrzane listy. Canelle w ogóle mieszka w sklepie. Rozumiesz?

W sklepie, na dole. To znaczy ona i pani Althan mają mieszkanie na górze, ale Canelle twierdzi, że zawsze chciała nocować w sklepie ze starociami. A pani Althan jej pozwala. Więc zawsze, kiedy przychodzę, Canelle na przykład je śniadanie przy którymś z tych zajebięcie drogich stołów.

– Czytanie kryminałów? Jedzenie śniadania w sklepie? – spytała podejrzliwie Klara. – Wy tam nie macie w ogóle ruchu?

– No, nie za duży – przyznał. – Ale jak już przyjdą klienci, to jest na co popatrzeć. Uwierz, jeden dziwniejszy od drugiego. Zazwyczaj to pani Althan ich obsługuje. Częstoje ich domowymi ciasteczkami i herbatą albo gorącą czekoladą. – Zignorował to, że przyjaciółka wymamrotała coś, co zabrzmiało jak „narkotyki”. – Ona jest naprawdę niesamowita. Ludzie szukają totalnie zakręconych rzeczy: spreparowanych czaszek, medalionów chroniących przed klątwą, obrazów, o których krążą straszne legendy... A ona pomyśli chwilę, coś sprawdzi i nagle oświadcza, że tak, owszem, mamy to na składzie. Pewnie jakby poprosić o rękę mumii, to też by znalazła.

– Jak dla mnie to tylko kolejny powód, żeby jak najszybciej stamtąd znikać – zaopiniowała Klara. Uważnie zbadała swój kawałek pizzy i, upewniwszy się, że nie została tam ani jedna oliwka, ugryzła pierwszy kęs. – Skoro mają nawiedzone obrazy i trupie główki, to nie wiadomo, co jeszcze. Bo że świra, to na pewno. I jeszcze częstoją czekoladą zamiast chociaż kawą, jakoś tak bardziej po ludzku...

– Wiem, że to brzmi jak z jakiegoś horroru, ale to tylko pozory. One naprawdę są bardzo miłe. Rozmawiają ze mną, opowiadają różne historie o klientach. Jest taka super domowa atmosfera.

– Tak, tak. Próbują cię oswoić i uspić twoją czujność. Nawet się nie zorientujesz, kiedy obudzisz się w wannie lodu z karteczką „nie masz nerki, dzwoń po pogotowie”.

Westchnął.

On i Klara byli przyjaciółmi z sąsiedztwa. Znali się od dziecka i kiedyś widywali prawie codziennie, a teraz praktycznie nie mieli dla siebie czasu. Martin jeździł na drugi koniec miasta do pracy w antykwariacie, a ona, ponieważ jej rodzice często wyjeżdżali za granicę, najczęściej chodziła po mieście z ludźmi poznanyymi na jakimś forum internetowym. Ani razu nie skorzystała z zaproszenia, by przyjść i sprawdzić, czy sklep z antykami naprawdę jest tak upiornym miejscem, jak opowiadał Martin, co mimo wszystko nieco chłopaka irytowało. Zwłaszcza że w tym samym czasie spędzała całe wieczory ze swoimi nowymi znajomymi, włócząc się po wszystkich podejrzanych miejscówkach w okolicy. Sytuacji nie poprawiał fakt, że były to ostatnie wakacje, które mieli szansę spędzić razem. We wrześniu Klara miała wyjechać z rodziną za granicę, on zaś przeprowadzić się do centrum miasta, do internatu Praskiej Szkoły Lalkarzy.

– A co słyhać u Kota i Ciastka? – zmienił temat. Kot i Ciastko byli parą superbohaterów z komiksów Klarki. Wymyśliła ich dawno temu, jeszcze w szkole podsta-

wowej, i wciąż rysowała, choć jak do tej pory nigdy nie udało jej się skończyć żadnego odcinka komiksu.

– Kot i Ciastko są w dupie – powiedziała z właściwą sobie prostotą, pochłaniając kolejny kawałek pizzy. Martin popatrzył na nią, nie wiedząc, czy przyjaciółka chce mu się odgryźć, czy to po prostu najlepszy opis fabuły.

– To znaczy, no... po prostu właśnie dowiedzieli się, że ich świat się kończy. – Zmrużyła oczy i przechyliła głowę do tyłu, opierając się o ławkę. – Wiesz, zafascynowały mnie ostatnio takie klimaty, to wrażenie, że zbliża się coś nieodwracalnego. Każdy gest, każde słowo może być tym zapowiadającym koniec świata. Wszystkie następne tylko przybliżają do katastrofy, której nie można zapobiec.

Martin znów na nią popatrzył, tym razem naprawdę zaniepokojony. Znał Kota i Ciastko od dawna – Klara w wielkim sekrecie pokazywała mu swoje komiksy. Nie oszczędzała swoich bohaterów i często pakowała ich w sytuacje, z których udawało im się wybrnąć w jednym kawałku tylko dzięki supermocom. Nigdy jednak jej opowieści nie brzmiały tak... ostatecznie. Nigdy nie chciała zniszczyć ich świata.

– Klara... – odkaszlnął, nie wiedząc, jak zacząć.

– Hm?

– Kim... – zawahał się – ...kim właściwie są ci ludzie, z którymi się spotykasz, żeby łączyć po ruinach?

– To nieistotne – wzruszyła ramionami. – Ważne jest to, że teraz Kot i Ciastko mają dwa tygodnie na uratowanie świata. Albo czternaście dni do jego zniszczenia.